

Polska audycja wystłuchana w samochodzie

Podczas karkołomnej jazdy w jugosłowiańskich górach

Poniższe opowiadanie p. M. Zawadzkiej, uczestniczki międzynarodowej wycieczki dziennikarzy po Jugosławii, jest jakby pozakonkursową odpowiedzią na nasz konkurs: „Moje najsilniejsze przeżycie radiowe”. Uzupełnia ono kilka publikowanych już przez nas opisów o znaczeniu polskiej audycji radiowej na obczyźnie. Autorka, jakkolwiek stale zamieszkała w Warszawie, jednak niesłychanie silnie zareagowała na głos z ożyczyzny posłyszany w niezwykłych okolicznościach, bo w pedącym samochodzie wśród wspaniałej sceny górskiej pod Skopljem w południowej Jugosławii.

Skoplję jest pełne kontrastów. Po jednej stronie rzeki Wardar nowoczesne gmachy miasta rozwijającego się dziś szybko, jako ważne centrum administracyjne południowej Jugosławii, a tuż za mostem twierdza z XIV wieku, wzniesiona przez serbskiego króla Duszana, od której rozpoczyna się dzielnica Muhadżir — pełnowartościowy muhamedan.

Zawili labirynt krętych uliczek prowadzi poprzez „czarszję”. Rząd małych kramików, królestwo handlarzy starej inkrustowanej, lub misternie cyzelowanej broni, filigranowych klejnotów ze srebra, złota i miedzi, dywanów o stonowanych, pastelowych barwach, przebiegających haftów ludowych, wschodniego obuwia z saffjanu, a przedewszystkiem za bezcen sprzedawanych owoców i jarzyn olśniewających wzrok prawdziwą orgią kolorów. Autokar wiozący nas z trudem toruje sobie drogę. Wreszcie przedostajemy się na szosę, wiodącą w stronę Veles.

Mijamy długi szereg bliźniaczych niskich chat kamiennych o płaskich dachach. To dzielnica cygańska. Przy całym prymitywizmie urządzeń nawet tu dotarła jedna jedyna zdobycz współczesnego geniuszu. Z dachów chat, gdzieś tam, sterczy dumnie antena radiowa, a podobno nawet i głośnik nie jest rzadkiem zjawiskiem.

Mknijemy dalej autokarem pod łukiem doskonale zachowanego akweduktu rzymskiego ku monasterowi św. Nikity w Czuczer, wzniesionego na wysokiej skale w 1308 roku. Zbaczamy w polną, szumnie zwaną „drogę”. Przeska kujemy przez wyschłe łożyska strumieni, wreszcie u stóp piętrzącej się w górę wioski autokar zatrzymuje się, nieprzejeżdżając już dalej przez wąskie, pod ostrym kątem załamujące się uliczki.

Trochę stękając, gdyż w naszym gronie ludzi pióra niewielu jest stosunkowo alpinistów, wspinały się na szczyt, aby obejrzeć klasztor, w którym trafiliśmy właśnie na obchód święta ludowego. W drodze powrotnej tuż za furtą klasztorną czeka nas niespodzianka, spoglądając na nowiuteńki samochód, limuzynę marki Studebaker, model 1934 r. Spośród

praktycznych Niemców pada głosna uwaga:

— Wicie Państwo, to już jest grzech tłuc nowiutką maszynę po takich wertepach.

Amerykanka, towarzysząca moją drugą polską dziennikarką i ja rozgrzeszamy jednak przedstawiela Banowiny (Ban jest odpowiednikiem naszego wojewo-

dy), który zaprasza nas uprzejmie do wnętrza samochodu.

Rozpoczyna się szaleńcza jazda w dół z pieca na łeb. Świetne repery łagodzą wstrząsy skoków z głazu na głaz w pozycji niemal pionowej. Wszystkie trzy mamy dosłownie dusze na ramieniu, choć nadrabiamy minami w głębokiem coprawda milczeniu podziwiając niezrównaną, a w Jugosławii nagminną, mastrję szofera. Wymijamy szczęśliwie zator, w postaci pary wołów ciągnących wóz naładowany nacią kurkurydy, z głębokim poczuciem ulgi dostrzegamy w odległości jednakże kilku kilometrów zarys szosy.

Raptem szofer przekręca jakiś guzik w pobliżu szybkościomierza i zanim zdążyliśmy się zorientować co się dzieje słyszymy chrzęst, świst a potem... „— Halo halo! Tu Polskie Radio Warszawa. Nadamy komunikat meteorologiczny dla uczestników zawodów Gordon Bennetta”. — Nasz popularny speaker p. Bocheński ma na sumieniu guz na moim czole, bo niebaczna pędu porwałam się na równe nogi z wrażenia i z całej siły uderzyłam głową w sufit limuzyny.

Nie zdołam opisać wstrząsu jakiegoś doznałam. Przysnam się, że nie pamiętam tak gwałtownego przypływu patriotycznych uczuć, a wykaz napięcia siły wiatru na różnych poziomach atmosfery, wydał mi się wtedy najcięższą poezją.

Jakżi mały stał się świat dzięki radiu! Gdzieś w Skoplijskiej Czarnohorze, na skalistym bezdrożu słuchaliśmy słów ojczyjstego mojego, jakby z sąsiedniego pokoju, a serce było nam taką radosną dumą, że chyba odwrotna fala musiała jej echo donieść do Raszyna.

— My najczęściej słuchamy Warszawy — wyjaśnił towarzyszący nam viceburmistrz, widząc na szcze wruszenie, — macie znakomity stację nadawczą i wasze audycje odbiera się u nas najczęściej.

— Jak tylko usłyszę „melodyjkę” waszego Chopina — dodał szofer, który w tym demokratycznym kraju chętnie bierze udział w rozmowach pasażerów — to wolę nawet wysłuchać odczytów, chociaż nie rozumiem ani słowa, byle doczekać się waszej muzyki i śpiewów, takie są ładne i wyrażne.

Marja Zawadzka.

Listy Czytelników

Abisyńskie reportaże

Szanowny Panie Redaktorze! W Pańskim poczytnym dodatku „ABC radiowe” z niedzieli 13 b. m. ukazały się dwie wiadomości, ponieważ, że tak powiem, uzupełniające się. Jest to: 1) odpowiedź konkursowa inż. A. K., w której opisano, jak to na ćwiczeniach wojskowych oficerowie rezerwy pozwolili uruchomić nieprzyjacielską radiostację, wziętą w niewolę, i jakie z tego smutne wyniknęły skutki; 2) doniesienie o angielskich i amerykańskich pomysłach przesłania reportażów radiowych zapomocą krótkofalówek, zainstalowanych na polach bitew w Afryce.

Przygoda oficerów rezerwy, którzy sobie sprowadzili nieprzyjaciela na kark przez wziętych w niewolę radiowców, którym niebacznie nie odebrali sprzętu radiowego, jest bardzo

instruktywna dla możliwości reportażów radiowych z placu boju. Radioreporterzy angielscy i amerykańscy liczą chyba na naiwność dzikusów afrykańskich, jeśli sądzą, że jakkolwiek dowódca pozwoli im na uruchomienie radiostacji. A gdyby nawet idąc z wojskami negusa, potrafili jakiś prze prowadzić swoje zadanie — stałby się celem najpocześniejszych ataków włoskich, bo Włosi, ziomkowie Marconiego, zdają sobie chyba doskonale sprawę z tego, że radiostacje po stronie nieprzyjacielskiej trzeba jaknajszybciej likwidować.

Tak więc również z militarnego punktu widzenia reportaże radiowe z abisyńskich pól walki stoją pod dużym znakiem zapytania.

Z poważaniem
Kpt. F. H.

Liczba abonentów Polskiego Radja

Na dzień 1 października r. b. Polskie Radio liczyło 417.964 abonentów, co w porównaniu z ubiegłym miesiącem stanowi

wzrost o 11.000. Liczba abonentów wiejskich Polskiego Radja wynosi obecnie około 47.000.

Podziemne radio sygnalizuje katastrofy z kopalń

Znany inżynier wiedeński Fritz, twierdzi, że fale radiowe rozchodzą się nie tylko w przestrzeni nad ziemią, ale przenikają również głęboko pod powierzchnię ziemi. Tej właściwości fal radiowych dotychczas znaczna większość specjalistów stanowczo zaprzeczała, toteż odkrycie inż. Fritza przedstawia się dość niezwykle.

MORZE I RADJO DWA OKNA NA SWIAT

Inż. Fritz pracuje obecnie nad wykończeniem technicznym aparatu, który, umieszczony pod ziemią, za pomoca fal radiowych dawałby automatycznie znać na powierzchnię o wszelkich kataklizmach, jakiego się zdarzyły w głębi kopalni, takich jak np. eksplozje gazów, zalanie kopalni wodą, pożary i t. p.

Ach, to radio...

Wlazł kotek...

Był łowny, a nie miał co łowić. W całym domu od piwnic do strychu nie uświadczył ani jednej myszki, a o szczurach nawet marzyć szkoda. Krwiożerczych instynktów nie zaspakajala ani w części zabawa motkiem włośki, lub papierkiem uwiazanym na sznurku i posuwanym po podłodze w takt jego zdobywczych skoków. Raczej powiększała się w ten sposób żądza prawdziwych wielkich łowów na żywą zwierzynę.

Teśknoty myśliwskie podniecały wszelkie szmery i piski wydawane przez martwe przedmioty. Godzinami całymi penetrował podniecające wyobrażenia czeluście pod szafami, tapczanami i biurkiem. Naprawdę! Wiele nieszczęsnego drapieżca ponizal się do łapania much na szybie okiennej.

I byłby tak pewnie nadal ubocznie i niedoskonale zaspakajal swoje wrodzone skłonności, bez katastrofy, gdyby nie zainstalowano w domu radja. Nowy nabytek wzbudził żywe zainteresowanie namiętnego amatora polowania. Wraz z całą rodziną siedział przed głośnikiem wpatrzony w jego ciemną głębie, z której wy

Album radiowe

Od jednego z czytelników uszyliśmy zapytanie, co się dzieje ze sprawą ilustrowanego albumu radiowego, które obiecano wszystkim radioabonentom, o ile nie skasują abonamentu w lipcu i sierpniu oraz nadesłał dodatkowo 50 groszy. Albumy miały być rozdane we wrześniu, jednak dotąd ich niema, a urzędniczka w okienku radiowym na warszawskiej poczcie głównej, proszona o interwencję, odpowiedziała:

— Ciągłe publiczność o to pyta. Dziwi się, czemu. Przecież albumy te, to impreza prywatna — ani z pocztą ani z Polskim Radjem nie mają nic wspólnego.

Korespondent nasz pyta przeto z zaniepokojeniem: Czyżby to był jakiś nowy „kant”?

Możemy go uspokoić, że nie. Albumy będą rozdane wszystkim, którzy się we właściwym czasie z chęcią ich nabycia zadeklarowali, ale dopiero po zakończeniu druku (chodzi o 75.000 egzemplarzy!) t. j. z końcem listopada. Już szereg razy przy okazji różnych audycji radiowych udzielano wyjaśnień uspokajających, ale jak się okazuje, najpewniejszy kontakt ze wszystkimi słuchaczami prowadzi tylko przez prasę, gdyż wyjaśnienia tamte nie do każdego dotarły.

A swoją drogą, wartoby się postarać, aby na poczcie nie udzielano błędnych informacji...

dobywała się powódź dźwięków. I gdy już ludziom radio spowszedniało — on udzielał mu nadal pełni skupionej uwagi.

Był jesienny wieczór, kiedy wszyscy opuścili pokój, w którym rozbrzmiewała audycja radiowa, ale nie wyszedł on, najpilniejszy słuchacz. Nie wyszedł, bo spośród dźwięków mowy i muzyki wyłowił bystre uchem jakieś trzaski, szelesty, piski i szmery, które mu dały wiele do myślenia i obudziły gorące, zadawnione nadzieje. Nie, to niemożliwe, żeby te odgłosy nie sygnalizowały zwierzyń! Zaczął się, skupił w sobie i począł powoli skradać się do głośnika. Czarna trąba zapiszczała nęćco...



Zwabiło nas nagle stłumienie audycji radiowej i głuche miauczenie. Niefortunny łowca wiedziony długo niezaspokojoną namiętnością tak silnie wepchnął głowę w wąską gardziel tuby, że z trudem przyszło nam go uwolnić, zwłaszcza że pozostała na wolności odnoża zagrażała pazurami wybawcom. Biedna oflara akustycznych odpowiedników zaburzeń atmosferycznych i przeszkód w odbiorze radiowym naprzemian to załóżnicie to wściekłość protestowała przeciwko takiemu zakończeniu wapa le zapowiadającego się polowania. Aż wyciągnęły z głośnika umilkł i zaczął łapkami rozcierać pogniecione uszy.

Po tej przygodzie musi teraz często, a jak należy przypuszczać — z niesmakiem, wysłuchiwać trawestacji popularnej piosenki:

Wlazł kotek
(Już kotek
Nie hawił)
Aż w głośnik —
Kłós radjo
Nastawik

Lecz i tam
Też myszki
Nie było,
Musieli
Wyciągać
Go siłą. GĄSKA.

Z tygodnia

„Z niespodzianką” była zapowiedziana w ostatni czwartek audycja dla dzieci, podczas której Stary Doktor miał opowiedzieć bajkę o kocie w butach. Niespodzianka udała się w całej pełni: przy mikrofonie, oprócz prelegenta, zjawili się całe towarzystwo przyprowadzonych przez niego dzieciaków i dzięki temu opowiadania zmieniło się w przeżabiane i niezwykle miłe słuchowisko.

Rządząc się autonomicznie wraz z swymi gośćmi w zamkniętej kabinie dla prelegentów, Stary Doktor poddawał pod głosowanie tego parlamentu, jak ma opisywać pała królewski, „zwyyczajnie” lub „uroczyście” (a więc pokój czy komnata, twarz czy oblicze i t. p.) i czy król ma zajeżdżać karetą, czy też samochodem. Goście zaś często — gęsto dawali upust swym reakcjom na opowiadanie, wybuchając śmiechem lub też... przeszkadzali: ten się kręcił po kabinie, tamtego korytko bić patykami o pulpit, a jeszcze inny, „wobec całej Polski, która przecież słucha”, gdzieś zapodziałą czapkę... Słowem, zamiast szablonu, było — życie.

Jeśli porównać ten system aranżowania opowiadań z poprzednio przez tegoż prelegenta stosowanym, gdy towarzyszyli mu jeden słuchacz, to trzeba

powiedzieć, że — „niema porównania”. Jeden słuchacz spełnia bowiem tylko rolę statysty i należytego ożywienia wprowadzić w audycję nie potrafi: okazuje się to również w pogadankach muzycznych, które chociaż teraz coraz bardziej „rozkręchmalone”, jednak zawsze mają w sobie coś ze sztuczności wskutek naturalnego dystansu, jaki istnieje między profesorem a uczniem. Lepsza już jest forma djałogów, w których obie strony są niejako równouprawnione. W wypadku o mawianej bajki to równouprawnienie dało się uzyskać dzięki temu, że audytorjum było „liczne” i że prelegent umiał „uruchomić jego walory akustyczne”, czyli mówiąc językiem codziennym: umiał je rozruszać.

Kto nie słuchał tej audycji (czy to z dzieci czy ze starszych), może żałować, ale ma szansę powetowania sobie straty podczas jej dalszego ciągu, w tem czwartek. Mogą zapewnić najszerzej, że rzadko byłem równie serdecznie ubawiony.

A i jedno jeszcze dodać trzeba: pokazało się, jak ważną rzeczą dla prelegenta jest uzyskanie jakiegoś kontaktu, który nazwałby „pomocniczym”. Ileż to prelekięj brzmiało martwo, sucho, nudnie — głównie dzięki temu, że autor, zamknięty sam-na-sam z mikrofonem, nikogo nie widzi i tru-

do mu nawiązać kontakt z tą niewidzialną i niewiadomą rzeszą, która go słucha. Jak zaś ten „pomocniczy kontakt” pomaga prelegentowi, to można było stwierdzić na samym Starym Doktorze, który zazwyczaj mówi głosem jakby nieco zmęczonym i dość cichym, a tym razem pełen był wigoru i werwy.

Eksperyment się udał i warto korzystać z niego także przy innych sposobnościach.

O drugim eksperymencie, który dopiero teraz się rozpoczyna, będzie można wypowiedzieć się dopiero za miesiąc. Mam na myśli srodowe odczyty dyskusyjne, które teoretycznym wstępem zainaugurowała onegdaj p. Grocholska. Inauguracja była dość zajmująca (w tę środę uzupełniła jeszcze prof. Witwicki), trzeba więc spodziewać się, że osiągnie pierwszy zakresiony cel t. j. utworzenie się pewnej ilości kółek dyskusyjnych; byłoby przytem wskazane, aby stale informowano słuchaczy, jak ilość tych kółek wzrasta. Cel jednak drugi, istotny, to przyciągnięcie zainteresowania słuchaczy. Pod tym względem wszystko zależy od doboru tematów, sposobu ich podania oraz ustalenia tez dyskusyjnych — i dopiero w miarę rozwijania się cyklu będzie można zorientować się, czy słuszny ten pomysł jest realizowany we właściwy sposób.

Kolizja obowiązków dziennikarskich nie pozwoliła mi wysłuchać

ani pierwszego odczytu p. Makowieckiego z serii „Warszawa w literaturze i anegdotyce” ani też (również zaczynającego osobny cykl) odczytu prof. Dąbrowskiego o podboju Afryki przez Europę. Znajac prelegenta z jego poprzednich występów przed mikrofonem, można zgóry powiedzieć, że prelekięje te nie tylko będą zajmujące ale i w sposób pociągający wygłoszone. Nie można by tego powiedzieć o ogóle t. zw. pogadankach aktualnych, które obecnie dość często są wygłaszane w sposób suchy, martwy, nieciekawy.

Ze antytezą tych wszystkich cech ujemnych był niedzielny reportaż z polsko - węgierskiego meczu lekkoatletycznego, skoro go prowadził p. Trojanowski — rzecz rozumiem się sama przez się; podnieść należy również doskonały stan kabla telefonicznego, dzięki czemu audycję słyszał było bardzo wyraźnie. Z audycji innych wspomnę o pięknym odczytaniu przez Jaracza fragmentu z powieści Karpackiego „Brama Świata”, o pełnym wyrazu obrazku Z. Skierskiego ze stosunków górnolaskich p. t. „Ziemia” (w cyklu wieczerznych 5-cio minutowek) i o interesująco przez red. Zrębownicę opracowanej recytacji dwóch świeżo odkrytych wierszy Norwida.

Udała się ostatnia Wesoła Fala lwowska i udane są także „uśmiechy Poznania”, coraz dowcipniejsze w tekście. Ze Warszawy, gdy i na nią przyszła kolej

dnia audycji „regionalnej”, cofnęła się aż o 50 lat wstecz, do nieśmiertelnego Prusa — nie uważam za myśl zbyt szczeniową: najpierw dopiero niedawno temu dawano podobną audycję, powtóre zaś wartoby bardziej zająć się współczesnym folklorem stolicy, dotąd niedostatecznie w radio wyzyskiwanym.

Dobry był także wesoły skecz kryminalno - detektywistyczny z Krakowa („Colin i S-ka”). Audycje humoru zagranicznego znalazły się obecnie w inteligentnych rękach p. Winawera; powinno im to być do zdrowia. Wprawdzie wydobyłoby się im trochę więcej werwy, z uznaniem jednak podnieść należy, że po wysłuchaniu winawerskich próbek humoru zagranicznego wychodzi się bez tego, co stale dotąd, chaosu w głowie, a z pewnym pożytkiem kulturalnym. Co do niedziałalowej pogadanki tegoż autora zwracała uwagę zbyt cicha dykcja: czy to tylko chwilo wa niedyspozycja prelegenta, czy też niewłaściwy wybór dystansu od mikrofonu? Na tę ostatnią ewentualność zdawałoby się wskazywać fakt, że coraz częściej u stałych prelegentów radiowych zdarzają się takie momenty kiepskiej słyszalności — widocznie wynika to z wyrabiania się z biegiem czasu zapomniania o pewnych „drobiazgach”. Otóż, nie trzeba o nich zapominać — mikrofon jest jak kochanka: czuły, ale i zdradliwy.

Ostatni koncert Chopinowski dał nam znowu poznać parę bardzo mało znanych utworów młodzieńczych kompozytora. Na wykonanie złożyły się dwie stacje, lwowska i poznańska — pierwsza z większym sukcesem od drugiej.

A propos tych koncertów. Polskie Radio ogłosiło komunikat, w którym oświadcza, że: „...niektórzy ze słuchaczy radja domagają się objaśnień nie przed całym koncertem, lecz przed poszczególnymi utworami. Polskie Radio wyjaśnia, że uwzględnienie tych życzeń jest niemożliwe, gdyż koncerty Chopinowskie nadawane są przeważnie zagranicą, umieszczenie więc objaśnień polskich w czasie trwania koncertu byłoby niecelowe”.

Ponieważ ja to byłem tym, który sprawę tę poruszył, przeto użyję liczby mnogiej w komunikacie P. R. dowodziłoby, że nie jestem ze swem zdaniem odoobno. Dowiodło tego jednak i coś innego jeszcze, mianowicie wspomniany właśnie koncert lwowski, w którym... właśnie zapowiedzi były rozdzielone w ten sposób, jak to proponowałem. Mogę więc odpowiedzieć tylko tyle, że:

„...uwzględnienie tych życzeń jest możliwe, i to nawet mimo że koncerty te są nadawane zagranicą”.

Dlaczego zatem nie powiedzieć otwarcie i wyraźnie: Nie będziemy, bo nie chcemy? Bo przecież na to wychodzi. Wszelkie zaś „gdyż” są zbędne: jeśli wyrok jest zgóry wydany, motywy zawsze się dorobi — pro czy contra.

Marjan Grzegorzczak.